Nr. 45. We Lwowie dnia 7. listopada 1897. Rok 5.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.



Mowy Leszka Dunina Borkowskiego.

Mowy Leszka Dunina Borkowskiego,*) wygłoszone w latach 1867—1887, są cennym przyczynkiem do historji tych czasów, z których pochodzą, oraz pełnym wartości materjałem do scharakteryzowania człowieka, który w dziejach Galicji odegrał rolę piękną i niepoślednią.

Potomek arystokratycznej rodziny, spokrewniony z całą niemal arystokracją i pseudoarystokracją galicyjską Leszek Borkowski był przez całe życie swoje (ur. 11. styczn. 1811. zmarł 30. listopada 1896) wyznawcą zasad demokratycznych. „Całe życie — pisał drżącą już ręką starca w krótkiej swej autobiografji, ogłoszonej w jednem z pism codziennych lwowskich w d. 14. maja z. r. — nienawidziłem wrogów mojej ojczyzny, walczyłem z nimi przy każdej nadarzającej się sposobności, nie poniżałem się przed przemocą, dostojeństw a tytułów nie ceniłem wyżej, niż człowieka“ ..

Żołnierz z r. 1831, uczestnik sejmu konstytucyjnego w Wiedniu w r. 1848, dokąd go wysłali wyborcy miasta Lwowa i gdzie zasłynął jako dzielny, niepospolicie władający słowem obrońca wolności i krytyk absolutystycznych dążeń rządu, jeden z najgorętszych i najpracowitszych krzewicieli życia umysłowego i literatury w tej części Polski, która najwcześniej oderwana od pnia macierzystego, najdłużej była wystawiona na działanie zgubnych dla jej rozwoju narodowego czynników, Borkowski należał do ludzi, którzy na podstawie gorącego i bezwzględnego przywiązania do Ojczyzny, wyrobili sobie trwały, zupełny i wszechstronny pogląd na jej losy, umieli szybko i dobrze orjentować się w wypadkach chwili bieżącej, zdolni byli w jednej chwili ocenić, czy ten lub ów kierunek przynosi Ojczyźnie korzyść, czy też szkodę. Było to pokolenie ludzi, którzy na bieg wypadków europejskich wogóle i na rozwój stosunków austrjackich w szczególności patrzyli przez pryzmat narodowej polityki polskiej, a potępiali wszystko, co się w pryzmacie tym załamywało. R. 1867 jest rokiem epokowym w dziejach Galicji, rokiem, od którego mniej więcej datować można panowanie skrajnego utylitaryzmu w polityce przedstawicielstwa galicyjskiego, utylitaryzmu, który nieco później stał się sztandarowem hasłem stańczyków, jednakże należy powiedzieć, iż nie oni jedni wypisali go na swym sztandarze.

W książce, która leży przed nami, a nosi 100.000 numer inwentarza biblioteki im. Ossolińskich, znajdujemy najpierw dwie mowy sejmowe Borkowskiego (str. 55—79), jedną, wygłoszoną w Izbie sejmowej w d. 1. marca 1867

*) Mowy Leszka Dunina Borkowskiego, (1867—1887). Przedmowę napisał Stanisław Schnür Pepłowski. Lwów. 1897 8⁰ str. 139.

i drugą, wypowiedzianą w tejże Izbie w d. 25. października 1869. Pierwszą z tych mów wypowiedział Borkowski podczas debaty nad adresem, do tronu ułożonym, przez wysadzoną z łona sejmu „ad hoc“ komisję, oraz nad zagadnieniem, czy sejm ma przystąpić do wyboru delegacji do Rady państwa. Większość była za nader pokornym adresem i wyborem delegacji, mniejszość z Borkowskim na czele twierdziła, że „przypatrzywszy się wszystkiemu, co się obecnie dzieje, nie trudno dostrzedz, że się zanosi na reakcję, która, jeżeli jej wypadki nie powściągną, obalając wszystko, co buduje, urośnie wkrótce ponad głowy tym, którzy ją dziś wspierają i pielęgnują serdecznie“. Z obawy przed tą reakcją ze strony rządu, którego dowolność aż nadto była widoczna, Borkowski złożył do laski marszałkowskiej wniosek, aby odroczyć wybory delegacji do chwili, w której rząd wystąpi z jasnym programem, określi stanowisko swe wobec poszczególnych narodowości i zapewni krajowi należące mu się korzyści ze związku konstytucyjno-politycznego z Austrją.

Drugą z wymienionych mów, wydrukowanych w zbiorowem wydaniu, jest mowa, wygłoszona podczas ogólnej rozprawy nad wnioskiem wykupna prawa propinacyjnego w dniu 25. października 1869. P. St. Pepłowski w przedmowie, która jest treściwym życiorysem Borkowskiego (str. 1—52), wspomina o kilku innych przemówieniach Borkowskiego, między innemi o mowie jego przeciw wnioskowi przeznaczenia 25.000 złr. na przyjęcie cesarza w Galicji (sierpień 1868).

„Zrażają mię zawsze — mówił Borkowski w ustępie, przytoczonym przez p. Pepłowskiego — wydatki tego rodzaju w kraju, który na pokrycie zwykłych swych potrzeb zdobyć się nie może. Jest to naigrawanie się z naszej nędzy... Nie udawajmy szczęśliwych, bo to nieprawda, zwłaszcza, że Najjaśniejszy Pan przyjeżdża w celu bliższego zapoznania się z naszymi stosunkami. Odsłońmy mu rany nasze...“

Szkoda, że tej mowy, jak i innej z d. 30. sierpnia 1870, o której także p. Pepłowski szeroko pisze, nie ogłoszono w całości.

Następną część książki stanowią mowy, wygłaszane w Towarzystwie przyjaciół sztuk pięknych we Lwowie (str. 83 120), któremu Borkowski przez szereg lat przewodniczył. Mowy te wszystkie, pełne głębokich i niepospolitych myśli, godne są uwagi i przeczytania. Mówca zastanawia się w nich nad zadaniami sztuki, a choć ten temat traktuje kilkakrotnie (mów jest dziewięć) nigdy się nie powtarza, za każdym razem rzuca nową, świeżą, krzepiącą myśl.

Ostatnią część książki (str. 123—139) wypełniają przemówienia, wygłaszane podczas obchodów rocznicy listopadowej rewolucji. Tych jest cztery. Wieje z nich taka głęboka wiara w odrodzenie narodu, taka pewność, że „naród, który tylekrotnie nie żałował krwi w obronie pogwałconych praw przyrodzonych, nie da się, jak dziecię w kolebce, syreniemi obietnicami do snu ukołysać“, że mimowoli przypomina się pieśń z „Padołu walki“ Jana Kasprowicza:

> Błogosławieni, którzy w czasie gromów
> Nie utracili równowagi ducha,
> Którym na widok spustoszeń i złomów
> Nie płynie z piersi pieśń rozpaczy głucha,
> Którzy wśród nocy nieprzebytej cieni,
> Nie tracą wiary w blask rannych promieni,
> Błogosławieni!

Nie rozpacz i nie beznadziejność dyktowały Borkowskiemu słowa, które powiedział w 50-tą rocznicę nocy listopadowej:

„Kiedy pokolenie dzisiejsze objawia jakieś zwątpienie, którego się wstydzi, jakieś zniechęcenie, którego się zapiera, jakiś wstręt do wytrwania, który wybiegami usprawiedliwia, aby upadek moralny sprzedać za przekonania, to niechże stary pójdzie w zapasy z tymi, co grzebią nadzieje i młode dusze na przyszłe czasy ojczystem ziarnem zasieje“. — Nie beznadziejność kazała mu gromić serwilistów, którym mówił: „Gdyby niepodległość narodową można wysłużyć, jak niegdyś niewolnicy wysługiwali wolność, jak Jakób u Labana wysłużył Rachelę... Gdyby Polskę można odzyskać przez służalstwo, to wiemy już, która z prowincji dawnej Rzeczypospolitej naszej odzyskałaby ją najpierwej.“

Słowo jeszcze o wspomnianej biograji pióra p. Pepłowskiego. Zregestrowano tu dość szczegółowo to wszystko, co się odnosi do publicznej działalności Borkowskiego, mniej miejsca poświęcono jego działalności literackiej, której należy się wyczerpująca ocena, zasługi bowiem Borkowskiego na tem polu tamtym zupełnie nie ustępują. Nie wątpimy, że praca p. Pepłowskiego o Borkowskim nie będzie ostatnią i jedyną, że niejeden jeszcze pokusi się o scharakteryzowanie tej pięknej postaci, a pragniemy tego gorąco, bo uważamy, że choć Borkowski nie należy do najprzedniejszych umysłów naszych, jest bezsprzecznie jednym z najpiękniejszych charakterów, w czasie, w którym żył rzadkich wogóle, w szczególności zaś w tej sferze, z której pochodził, a którą toczył i toczy rak korupcji politycznej i deprawacji moralnej.

J. A. Sierpniak.

ANTONI OKOLSKI.

Wspomnienie pośmiertne.

W d. 30. października zmarł Antoni Okolski, od lat trzydziestu czterech profesor uniwersytetu warszawskiego, znany w szerokich kołach inteligencji prawnik. Zgasły mąż nauki zajmował również przez lat parę stanowisko prezesa kasy im. Mianowskiego, a zakończył życie przed samem posiedzeniem zarządu tej instytucji.

Życie śp. Okolskiego upłynęło na sumiennej i skutecznej pracy naukowej i społecznej: zdobył on szacunek powszechny zarówno w sferach uniwersyteckich, jak i w szerokich kołach publiczności.

Przez ciąg swego długiego zawodu profesorskiego ani na chwilę nie ustawał w ruchliwej działalności i pracy: często również zabierał głos publicznie, a z pod pióra jego wyszedł szereg dzieł dużej wartości naukowej.

Na pierwszem miejscu wymienić należy: trzytomowe dzieło, pt. „Wykład prawa administracyjnego, obowiązującego w Królestwie Polskiem, dalej: „Ustrój państw europejskich i Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej“, „Zasady prawa cywilnego“ oraz „O stosunku państwa do oświaty narodowej“. Oprócz tego wymienić trzeba prace następujące: „O dzieciobójstwie“, „O urzędzie prokuratorskim“, „O znaczeniu miast i instytucyj miejskich“, „O organizacji sądów karnych“. „Uwagi nad prawem o przymusowem wywłaszczaniu“, „O wychowaniu fizycznem narodu“. „Podręcznik sądów gminnych“. Wszystko, co z pod pióra śp. Okolskiego wyszło, nosiło na sobie ślady głębokiej znajomości przedmiotu i wszechstronnego zbadania sprawy.

Urodzony w 1839 r. w Łęczyckiem, śp. Okolski szkoły ukończył w kraju, na uniwersytet zaś udał się do Petersburga, gdzie w r. 1861 pozyskał stopień kandydata praw. Nie przerywając studjów, śp. Okolski wyjechał zagranicę i pracował w Paryżu, Lodynie i Jenie, zdobywszy stopień doktora praw obojga. W tym czasie powołany został do wykładu procedury karnej w Szkole głównej. W Warszawie rozpocząwszy swój zawód nakowy, tu go przez lat trzydzieści cztery prowadził niezmordowanie — i tu go dokończył, zasłużywszy na żal serdeczny ogółu, który ocenić umiał pożyteczną wysoce działalność zgasłego profesora.

Eliza Orzeszkowa.

SITECZKO.

(Ciąg dalszy).

Piętnaście lat minęło. Przez ten czas za mąż wyszłam, owdowiałam, dwóch synów podhodowałam, — do klas od kilku lat już chodzą... Z pracy rąk swoich wszystko mam i chociaż, dzięki Bogu, głodem nie mrę, ale zawsze przy dzieciach, zwłaszcza po owdowieniu, kłopotów różnych i smutków najadłam się niemało, a wśród tego wszystkiego, przyznam się panu, o Broni prawie zapomniałam. Nie widziałam jej przez piętnaście lat ani razu i nie słyszałam o niej nic. Czasem, kiedy nie śpiąc w nocy, albo modląc się w kościele, dobrodziejów swoich wspominałam, i ona mi też jak żywa stawała przed oczyma, ale to tylko momentalnie, poczem rozpoczynał się znowu męczący, a czasem to aż krwawy taniec życia, przy którym obraz ładnego i wesołego dziewczątka niknął z pamięci na długo. Aż tu raz, właśnie tej zimy, idę ulicą, z jedną swoją znajomą, z żoną tego, może pan go zna, introligatora, i gadamy sobie o różnych swoich biedach i pociechach, aż z innej ulicy, z boku, wylatują wielkie, rozłożyste sanie, w cwał pędzące i szeroko rozpuszczonemi końmi zaprzężone, i tak na nas lecą, że, Jezus Marja! ani nam w prawo, ani w lewo; uciekamy, ślizgamy się po zamarzłym śniegu, i już nie wiemy same, jak śmierci albo kalectwa uniknąć, tylko w uszach nam dzwoni, brzęczy, krzyczy, gwiżdże, i tak śmieje się, że aż zanosi się od śmiechu. Dzwoniła i brzęczała tak uprząż na koniach, krzyczał i wołał woźnica: „Z drogi! z drogi!“ a śmiało się i zanosiło od śmiechu, nie z nas pewno, ale z jakiejś zabawnej rozmowy, towarzystwo siedzące, w wielkich, rozłożystych saniach. Nic jednak; wykręciłyśmy się jakoś, introligatorowa tylko nosem w śnieg padła, ja zaś utrzymałam się na nogach i, jak we śnie, jak w przelocie błyskawicy, zobaczyłam — Bronię. Kilkoro ich jechało, raczej leciało, mężczyźni i kobiety z których jedną była ona. Dałabym była sie, bie na kawałki porąbać za to, że to ona. Ta sama białość i różowość twarzy, te same turkusowe oczy, te usta śmiejące się i pąsowe, te włosy blond, takie złote, z pod sobolowej czapeczki... Cała w sobolach była, a przy jej uszach, jak iskry ze śniegu podjęte, błysnęły w słońcu brylanty! Chociaż sanie już daleko odleciały, ja jeszcze za niemi patrzyłam i pomimo, że przez ulicę dość ludzi szło i jechało, długo nad wszystkim gwarem wzbijał się brzęk i dźwięk ich uprzęży, krzyk ich woźnicy: „Z drogi! z drogi!“ — i głośny śmiech:

cha-cha-cha! cha-cha-cha! Kiedy oprzytomniałam, trzebaż wypadku, przechodził koło mnie jeden znajomy mój, taki, który wiele różnych osób w mieście znać może. Chwytam go tedy za rękę i pytam: czy nie wie czasem, kto ta pani, co tam pojechała? — A wiem — odpowiada — i mówi mi panieńskie jej nazwisko.

Więc ją poznałam! Ale zkądże ona tu się wzięła, a w takim bogatym stroju i w takiej wesołej obcej kompanji jeździ? Ot, wielkie dziwy! Z mężem przyjechała, tym a tym, człowiekiem bardzo znakomitym i możnym. Idąc do domu, ciągle myślałam sobie: a-a-a-a! a-a-a-a! hm, hm, hm, hm! a potem pomyślałam: a no! — ręką machnęłam i do swoich szyjących panien poszłam. Roboty było wiele, pilna, a tych panien, choć i poczciwe, dobrze pilnować trzeba. Przytem staniki zawsze kroję sama i draperje w ostatecznem upięciu z pod mojej własnej ręki wychodzić muszą.

Ale w miesiąc może potem, panna Róża (to moja starsza panna do staników), wracając z miasta, wielkim pędem do pracowni wpada i aż zadyszana od pośpiechu woła:

— Kareta! kareta! Proszę prędko przyjmować! Jakaś pani taką piękną karetą przyjechała!

Biegnę i już przez okno przedpokoiku widzę, że śliczna kareta przed drzwiami mieszkania stoi, przy niej konie czarne, takie duże. Wpadam do tego pokoju, aż w przedpokoju słyszę srebrny, donośny głosik: — Czy tu suknie szyją? — Tu, tu! — odpowiadam i drzwi na oścież otwieram, a na progu, cała w sobolach, tak jak wtedy, staje Bronia. Kiedym ją tak blisko zobaczyła, kiedy ona swojemi turkusowemi oczyma na mnie spojrzała, zapomniałam o długiem niewidzeniu się naszem, o tem, że ona teraz wielka pani, o wszystkiem... zawołałam: „Bronia!“ i rozpłakałam się. Ona zdziwiła się bardzo, bo wcale mię nie poznała, ale kiedy jej powiedziałam imię i panieńskie nazwisko swoje (z okolicy szlacheckiej rodem jestem, proszę pana), zaraz przypomniała sobie naszą dawną znajomość i ręce na szyję mi zarzuciła, ucałowała mię serdecznie. Całując mię, kiedy na tej oto kanapce ją sadzałam, ciągle śmiała się i mówiła:

— A mojaż ty, Kazimiero, jak ja dawno ciebie nie widziałam! Ot i nie spodziewałam się takiej siurpryzy! A mojaż ty, duszyczko! Co? to ty suknie szyjesz? Ależ postarzałaś! Gdzie twoja dawna talja podziała się! No, ale oczy to takie same, jak były! Jaka ja rada, że ciebie widzę i że to ty suknie dla mnie będziesz szyła! Tak dużo różnych rzeczy potrzebuję! Ale najpierwej to mnie kostjum na bal maskowy zrobić musisz, potem dwie suknie: jedną ze s z l e j f e m, a drugą krótką; matinetę też prędko, prędko mieć muszę...

Porwała się z kanapki, do drzwi do przedpokoju skoczyła:

— Michał! Michał! rzeczy z karety tu przynieść prędzej!

Cały magazyn ze sobą przywiozła. Czego tam nie było! Materje różne, koronki, wstążki, tiule, kwiaty, aż w pokoju od tego zrobiło się ciasno.

— Masz żurnale? — Sporo mam żurnali mód i wszystkie przed nią położyłam. No, byłoż to, było wybieranie, przebieranie, dobieranie, medytowanie, kombinowanie, aż poty na mnie wybijać zaczęły. Jak ryba w wodzie! Kontenta taka, że zdaje się tyle skrzydeł ma, ile koło niej gałganków leży. Już ja spokojna — mówi — że ty to wszystko ślicznie zrobisz. Mnie znajome panie mówiły, że ty ślicznie robisz i bardzo ciebie rekomendowali, tylko, że powiedzieli mi inną jakąś f a m i l j ę...

— Po mężu tak się nazywam...

— A! za mąż poszłaś! No, i ja poszłam! ale żebyś wiedziała jak! Kochał się on we mnie i ja w nim kochałam się tak... że poprostu okropność. Pokażę ci go kiedy. Piękny mężczyzna! Jeszcze wtedy kiedyśmy się pobrali, na takiej posadzie on nie był jak teraz, ale zawsze dobrze nam już było... teraz, no! Przyjdź kiedy do mnie, zobaczysz jaka u mnie r o z k o s z! No, duszeczko, przyjdź koniecznie.

Pocałowała mię znowu kilka razy.

— Ale co będzie z temi koronkami! za wązkie, prawda? Może sama znajdziesz szersze. No, a ten kostium? to już tak, jak my u m ó w i l i się...

Słucham, odpowiadam, doradzam, przymierzam, a ciągle czekam, kiedy też ona o swoim starym domu, o ojcu, o różnych dawnych znajomych wspomni. Miała przecież mnóstwo znajomych i z wyższego stanu i z niższego. Pewno zapyta się: czy żyją? gdzie są? jak im się powodzi? Gdzie tam! O nikim i o niczem nie wspomniała. Dużo mówiła o swojem szczęściu, o tem, że ją mąż bardzo kocha i pieści, że ma dwoje ślicznych dzieci, że tam, gdzie dotąd z mężem mieszkała, bawiła się doskonale, że tu także, choć miasto jest niewielkie, bardzo wesoło jej czas przechodzi...

Nieśmiało zapytałam:

— A mama?

Zasmuciła się. — Nie żyje już, duszeczko, w j u n j i pięć lat się skończy, odkąd nie żyje. Ale w wygodach ostatnie jej lata przeszły, niczego jej nie brakowało, w chorobie najsławniejsi lekarze ją leczyli...

Spojrzała na zegarek, krzyknęła, że już późno, i z wielkim pośpiechem futro wkładając, mówiła, że dziś będzie na proszonym obiedzie, że jutro kawalerowie wyprawiają dla dam ogromny kulig, że synek jej zupełnie do ojca podobny, a córeczka do niej, że kostjum powi-

n'en być za tydzień gotowy i że ja mam przyjść do niej koniecznie, koniecznie...

Poszłam. Kiedy trzeba było przymierzyć ten kostium, poszłam sama. Było to już o zmroku; na wschodach jej mieszkania jasno i pięknie, jak w kościele. Lampy przy ścianach, dywan pod nogami, tu i tam marmurowe wazony z szerokiemi, zielonemi liśćmi. Parada! Zadzwoniłam. Drzwi otworzyły się zaraz i jak wiatr z podwórza przez otwarte okno, buchnęło na mnie z mieszkania, jak grzmot głośne: cha-cha-cha! cha-cha-cha! Ale niedługo słuchałam, bo ani obejrzałam się, kiedy nakształt piłki odskoczyłam aż do samej prawie poręczy wschodów. To lokaj we fraku i w białych rękawiczkach tak grzecznie mię ode drzwi usunął i, palcem w dół ukazując, ze złością i pośpiechem krzyczał: — Przez c z a r n e wejście! proszę iść przez c z a r n e wejście; Takem się, proszę pana, za ten kułak lokajski, co mię odepchnął, rozzłościła, że byłabym może coś bardzo niegrzecznego powiedziała lub i zrobiła, ale usłyszałam tylko trzaśnięcie drzwiami i już fagasa tego przedemną nie było. Przez dwie minuty może stałam, trzęsąc się z gniewu, ale potem machnęłam ręką i poszłam czarnego wejścia szukać. Znalazłam i weszłam do pokoju, w którym ze trzy wystrojone służące siedziały, a między niemi, na szczęście, jedna znajoma, poczciwa dziewczyna. Ta zaraz mię do sypialnego pokoju zaprowadziła i pobiegła lokajowi powiedzieć, aby pani oznajmił. Przez zamknięte drzwi słyszę gwar wielki; same męzkie głosy, między któremi jej srebrny głosik dzwoni a dzwoni. Czasem rozmawiają tylko, a czasem zamkniętemi drzwiami jak grzmot bucha i toczy się: cha-cha-cha! cha-cha-cha!

(Dok. nast.).

Arnold Boecklin

przez

OLĘ HANSONA.

Borem, na jednorożcu, dziwnem zwierzęciu bajecznem, jedzie młoda kobieta. Jest właśnie pełne lato, a godzina południowa, jednak tu w gąszczy panuje chłód i zielonawy zmrok, ale z pomiędzy pni drzewnych prześwieca dzień błękitem niemal białym. Zwierzę zwolna kroczy ścieżką, podobną do alei, tuż na skraju lasu; głowę trzyma podniesioną, a wielkie lśniące oczy utkwiło z uwagą, niemal z uporem, wprost przed siebie; wygląda tak, jakby ten osobliwszy wierzchowiec szedł napół we śnie, lub też wsłuchiwał się w coś, czego my nie słyszymy.

A tak samo jest z młodą jeźdźczynią. Jest silnie, uderzająco silnie zbudowaną, twarz jej niemal szeroka i twarda; ale oczy patrzą wprost przed siebie, zupełnie jak owego zwierza, nawpół w przerażonem zainteresowaniu, napół w pytającem marzeniu. Silny, niemal tęgi korpus pokryła szata gazowa ściśle przylegająca, tak lekka i przejrzysta, że mogłaby być tylko cieniem zielonego światła na białem ciele.

Jestto dwudziestoletnia dziewczyna, która właśnie ma się obudzić kobietą i pewnego dnia letniego w godzinę południową śni dziewicze marzenia swoje. Wszystko jest cichem, cichem, dziwnie cichem; słychać tylko lekkie stąpanie bajecznego zwierzęcia, które lunatycznym chodem swoją jeźdźczynię przez chłodny, ciemnozielony, cudowny świat jej marzeń niesie, podczas gdy życia błękitniejące, jasne południe letnie tam, na zewnątrz, na nią oczekuje. A we wszystkiem jest spokój: w chodzie bajecznego zwierza i w postawie marzącej dziewczyny, spokój snu i spokój dnia, a przedewszystkiem owego olśniewającego, jasnego nieba codziennego, które zieloną grę zmroków sennych otacza...

Wiele lat przeminęło, a późno pewnego wieczoru stoi kobieta na wybrzeżu koło willi nad morzem. Jest cisza wieczoru po burzy. Poszarpane masy chmur toczą się jeszcze po niebie, ale morze ułożyło się już do spokoju. Zmierzcha się w powietrzu; schody, prowadzące do willi i marmurowe kolumnady błyszczą podwójnie biało. Kobieta stoi mała i samotna, jakby zgubiona w tej scenerji, ale równocześnie jest jakby jej uosobieniem. I ona jest w bieli i czerni: głęboko czarna szata, która powłoczyście i lekko po giętkiej postaci na ziemię spływa, biała twarz, podwójnie biało lśni na tle czarnych koronek, któremi głowa jest otulona. Stoi zupełnie samotnie, oparta o skalistą krawędź, podczas gdy zmierzcha się i ucicha dokoła niej, zmierzcha się i ucicha w niej: cisza nocy i spokoju, po burzach, które równie długo ponad nią szalały, jak nad cyprysami, co w górze koło willi czarne swe sylwetki od szarego powietrza odznaczają. Równie długo?... O tak, tak samo; gdyż jak ona, tak stały setki tysięcy kobiet i stać będą, samotne i zamyślone, z białą twarzą, a w czarnej szacie, w wieczornej godzinie swego życia, na wybrzeżu, koło willi nad morzem, podczas gdy się zmierzcha około nich i w nich, zmierzcha się, a wieczór się ucisza do nocnego spokoju, do spokoju w naturze i do spokoju w duszy, po burzy, która nad niemi przeleciała, nad jedną, nad drugą i nad niemi wszystkiemi, przez setki lat, co przeszły i przyjdą... Tak właśnie stoi przed nami kobieta w czarnej, otulającej postać i na ziemię spływającej szacie, samotna ze schy-

loną głową, nad którą zdaje się burza równie długo szalała, jak nad czarnymi cyprysami tam w górze, nad poszarpanymi cyprysami, które teraz pochyliły się ku ziemi..

I znowu wiele lat przeminęło, a człowiek tak daleko doszedł w swej krótkiej żegludze przez życie, że jego łódź właśnie zamierza wślizgnąć się w nieprzeniknione ciemnie „Wyspy umarłych"...

To są dzieje różnych wieków, czyli dzieje naszego życia. Całkiem na przodzie obrazu po obu stronach strumyka, który się cicho wije przez łąkę, świecącą zielonością i jaskrawą kwiatami w południowej godzinie pełnego lata, siedzi dwoje dzieci, całkiem nagich i zabawiających się tem, że rzucają kwiaty do strumyka i patrzą, jak płyną z wodą. Głąb obrazu zajmuje portal studni, której woda spływa z głowy sfinksa, znajdującej się naturalnie w punkcie środkowym całości, to bowiem jest życia uciekające źródło, co tam płynie. Na uboczu, na prawo pierwszego planu stoi młoda kobieta w głęboko niebieskiej zasłonie, błękitna, jak niebo i nadzieja, usiana gwiazdami; odwrócona jest napół plecami do młodego jeźdźca w hełmie i jaskrawo czerwonym kaftanie, siedzącego na koniu, z podniesioną dzidą, i trzyma w ręku kwiatek. Co leży poza portalem, nie dowiadujemy się. Spostrzega się tylko jakiś krajobraz i horyzont, ale się odgaduje, że to krajobraz i horyzont życia i że stamtąd powrócił starzec, który w cichem, głębokiem zamyśleniu wysoko na portalu siedzi, podczas gdy za nim na letniem niebie rysuje się sylwetka groteskowo fantastycznej postaci — prosta linja jako tułów i cztery kanciaste linje, jako ramiona i nogi — wznoszącej ponad nim swą olbrzymią kosę. Na wszystkich tych postaciach jednakże spoczywa jak najgłębszy spokój: na obojgu dzieciach, które w nieświadomej ufności jaśniejące kwiaty w cichy i jasny potok rzucają; na młodem dziewczęciu, które czeka samo nie wie na co, ale czeka, czeka na życie; na młodzieńcu, który siedzi prosto i nieporuszenie, prosto jak jego dzida, nieruchomie, jak jego koń; na starcu, który właśnie powrócił stamtąd, a któremu ze wszystkiego tam pozostało tylko ciche, głębokie zamyślenie, w jakiem się rysują jaskrawemi barwami obrazy: dziecka co swobodnie kwiaty w strumień rzucało, młodej dziewczyny co stała i czekała na coś, o czem nie wiedziała, co to będzie, co jednak życiem było, — w postaci siedzącego na koniu w czerwonym kaftanie młodzieńca, który jednakże jej nie spostrzegał, lecz oczy miał utkwione w świat poza portalem i oddalił się i wyjechał, aby teraz siedzieć oto w samotnem zamyśleniu, jako starzec, który teraz jeszcze nie wie, kto po zanim stoi i kosę nad jego głową wznosi, również jak się niespodziewał, że to, czego całe długie swe życie napróżno szukał, stało niegdyś tuż przy nim, koło portalu i czekało na niego. A ponad tem wszystkiem sklepi się niebo, tak głębokie, tak ciepłe, tak niebieskie, jak to jest tylko możebnem o g. 3 popołudniu w lecie, kiedy wszystko ucichnie i oddech zatrzymuje; niebo poznaczone owemi lekkiemi, jak wełna, białemi, jak wełna, chmurkami, co nawet w swym locie zdaje się, że stoją cicho i wiszą w powszechnej nieruchomości. (C. d. n.).

Japonja jako czynnik międzynarodowy.

Zaledwie 40 lat minęło od czasu, gdy Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, a następnie państwa europejskie wymogły na Japonji traktaty handlowe, by wyzyskiwać bogactwa tego kraju, który wówczas był w uśpieniu, dzięki panującej w nim gospodarce naturalnej i przypominał wieki średnie nietylko nierozwiniętymi stosunkami ekonomicznemi, lecz formą swego rządu, swym papieżem-mikado i królem-szagunem z licznymi lennikami.

Nie przeszło 30 lat od czasu, gdy mikado, którego widok był niedostępny dla zwykłego śmiertelnika, mikado — syn słońca, stał się świeckim panującym i znajdując poparcie śród przedstawicieli klasy samurajew, zniweczył władzę szaguna.

Nie przeszło i dziesiątka lat od czasu gdy rząd mikada, ustępując domaganiom się samurajew, nadał Japonji konstytucję na wzór europejskiej.

Te przeobrażenia ekonomiczno-polityczne Japonji uczyniły ją państwem, posiadającem już dziś znaczenie czynnika międzynarodowego; oddziaływanie tego kraju na międzynarodowe życie polityczne i ekonomiczne staje się coraz silniejsze.

Obecnie zarysowały się antagonizmy Japonji: polityczny względem Rosji i ekonomiczny względem Anglji.

Korea prędzej czy później musi stać się jabłkiem niezgody między Rosją i Japonją. Opanowanie Koreji jest nietylko tradycyjną dążnością Japonji, lecz posiada olbrzymie znaczenie pod względem kolonizacyjnym i gęsto zaludniona Japonja już dziś kolonizuje ten kraj.

Korea posiada też olbrzymie znaczenie dla Rosji. Rosja pragnie wzmacniać swą potęgę militarną przez rozrastanie się na wschodzie i panowanie nad Azją, musi więc utrzymywać znaczną armję na swych wschodnich kresach; tymczasem warunki przyrodzone krajów Nadmorskiego i znacznej części Nadamur-

skiego, jako nieprzyjazne dla produkcji rolnej, wywołują drożyznę zboża, co czyni utrzymanie znacznej armii na wschodnich kresach bardzo uciążliwem pod względem finansowym.

Gdyby jednak bogato od przyrody obdarzona Korea stała się rosyjską prowincją, Rosja skierowawszy tam swą kolonizację, w krótkim czasie posiadłaby olbrzymie i tanie spichlerze zbożowe, coby jej ułatwiło utrzymanie wielkiej armji na Wschodzie i czynienie nowych zdobyczy.

Kwestja dalekiego Wschodu nie może być obojętną dla Europy. Granice Rosji i Europy określały się zawsze stosunkiem sił Rosji i jej sąsiadów. Ciągłe rozszerzanie się Rosji na Wschodzie na tysiące mil dawały jej możność przesuwać się na zachód na dziesiątki mil kwadratowych. Na Wschodzie może być położony kres dalszemu rozrostowi Rosji, w obecnych warunkach zależy to głównie od rozwoju Japonji.

Dziś polityczny antagonizm Rosji i Japonji nie przybiera na Wschodzie ostrej formy; w tym czasie, kiedy Europa była zajęta sprawą Krety, Rosja z Japonją zawarły umowę o wspólny protektorat nad Koreą. Ostateczne rozstrzygnięcie sprawy odroczono na przyszłość. Przyszłość ta w znacznej mierze zależeć będzie od dalszego rozwoju Japonji, od jej zwycięstw na polu ekonomicznem. Tu wkraczamy w dziedzinę walki ekonomicznej Japonji z Anglją na międzynarodowym rynku.

Produkcja węgla kamiennego, żelaza, wełny i bawełny — oto źródło ekonomicznej przewagi Anglji.

Węgiel kamienny stworzył przemysł angielski, jej miasta, flotę i kolonje.

Angielski węgiel przybywał do wszystkich portów Indji i Australji. Otóż obecnie w produkcji węgla kamiennego Japonja staje się niebezpiecznym współzawodnikiem Anglji. Najlepszy angielski węgiel Kardif zawiera zaledwie o 8% więcej siły ogrzewającej, niż węgiel Japonji, który jest tańszy od angielskiego o 50%.

Podług komunikatu zarządu kolonji wiele znaczniejszych towarzystw okrętowych zawarło kontrakty na japoński węgiel, wskutek czego franko w Songopurze 100.000 tonn kamiennego węgla kosztuje 13–15 fr. za tonnę, gdy tymczasem tonna angielskiego węgla kosztuje 25 fr. Oprócz tego Japonja dostarcza węgla do Tonkinu i Australji, gdzie uprzednio panował wszechwładnie angielski węgiel. Bardzo możliwe, że wkrótce japoński węgiel znajdzie się w angielskich portach.

Przemysł węgielny Japonji doszedł do znacznych rozmiarów i rozwija się szybko. Z jednej tylko przystani Toi w r. 1890. wywieziono z górą 100.000 tonn węgla na cudzoziemskich okrętach, w trzy lata później ilość ta zwiększyła się więcej, niż 4 razy, wywóz węgla doszedł 430.000 tonn; oprócz tego japońskie okręty wzięły na pokład 500.000 tonn, tak, że przez ten jeden port wywozi się rocznie około miljona tonn węgla.

Istnieje związek między różnemi gałęziami produkcji, rozwój jednej stwarza warunki dla drugiej. Taki związek istnieje między węgielnym i żelaznym przemysłem Kardif np. najważniejszy port Angli pod względem wywozu węgla kamiennego jest też najważniejszym portem pod względem przywozu rudy żelaznej, która tam znajduje najtańszy węgiel do przetapiania się. Do Kardifa przebywa ruda nie tylko ubogiej w węgiel kamienny Szwecji, ale i Kaplandu, Chili i Australji. Wszystko to uzasadnia przypuszczenie, że Japonja jako kraj produkujący w znacznej ilości węgiel, rozwinie u siebie przemysł żelazny. Dziś wprawdzie przemysł ten w Japonji nie jest jeszcze rozwiniętym, lecz wiadomo jak szybko rozwija się przemysł przy odpowiednich warunkach. Cały szereg metalurgicznych zakładów powstał i powstaje w Japonji. Podług najnowszych danych ruda żelazna znajduje się tam w obfitości, przytem i z obcych krajów może przybywać ruda do Japonji, jak — do Anglji. Szczęśliwe geograficzne położenie, stosunkowa bliskość do Indji i Australji warunkują przewagę Japonji na Wschodzie w ekonomicznej walce z Europą. Niedawno wysłała Australja przezpół oficjalną komisję do Tokio (stolicy Japonji) dla zbadania i omówienia warunków tranzakcji handlowych między Australją i Japonją. Handel ten posiada znaczną doniosłość dla Japonji, bo Australja, licząca 110 miljonów owiec, wywozi w olbrzymiej ilości wełnę, tj. dostarcza materjału do sukiennych fabryk. Japonja już obecnie otrzymuje znaczną ilość wełny z Australji, przerabia ją na swych fabrykach i posyła napowrót do Japonji. Analogiczne stotunki wytworzyły się między Japonją i Chinami. W skutek tego produkcja sukienna Japonji staje się niebezpiecznym konkurentem dla Anglji.

(Dok. nast.). *Wł. Studnicki.*

Przegląd pism.

Cosmopolis, międzynarodowy miesięcznik, drukujący się w językach: angielskim, francuskim i niemieckim, umieszcza w październikowym zeszycie obrazek Marcelego Schwoba p. t. »Gwiazda lasu« (L'étoile de bois). Do najbardziej charakterystycznych ustępów w drobnym tym utworze gło-

śnego dziś we Francji symbolisty należą opisy lasu i morza, które tu powtarzamy w możliwie ścisłym przekładzie.

»W starym tym lesie — pisze autor francuski — więcej było polan, niż dróg; okrągłe łączki, otoczone strażą wysokich dębów; jeziora nieruchome paproci z unoszącemi się w górze gałązkami o kształtach wiotkich i świeżych, gdyby paluszki niewieściej ręki; grona uroczystych, jak kolumny, drzew, które się tam skupiły, aby w ciągu wieków obradować szmerem liści; wązkie okna konarów, otwierające się na zielony ocean, w którym drżały długie, wonne cienie i blado złote kółka słonecznego światła; zaczarowane wyspy różowych wrzosów i rzeki ciernistego janowca; sieci, utkane ze świateł i mroków; szerokie, przestrzenie, ręką samej natury wytworzone, gdzie się wznosiły, dreszczem przejęte, młodzieńcze sosenki i dziecięce dąbczaki; posłania rudych igieł, w których rozsochate, omszone pnie starych drzew zdawały się pogrążać po kolana; kolebki wiewiórek i wężowe gniazda; tysiące drgań owadów i gędziolenia ptasząt. W upalne dni las szemrał, niby potworne mrowisko, a po ulewie płakał właściwym sobie deszczem, powolnym, posępnym, uporczywym, który padał z jego wierzchołków i zatapiał umarłe liście. Posiadał swój własny oddech i sen; chrapał niekiedy; niekiedy milczał, oniemiały, puszysty, czatujący, bez szelestu czołgającej się żmiji, bez trelu piegży. Na co czekał? Niewiadomo. Miał swoją wolę i upodobania: wypuszczał w prostej linji szeregi brzóz, które biegły, jak strzały — a potem zdjęty nagle obawą, przystawał w jakimś zakątku i drżał p.d grupą osiczyny; wysuwał też niekiedy stopy na krawędź doliny, ale nie zatrzymywał się tam długo i umykał z powrotem w chłodne przerażenie najwyższej, najgęstszej swej puszczy, w nocne mroki środkowego punktu. Znosił życie zwierząt i nie zdawał się ich dostrzegać; ale pnie jego, — niewzruszone, oporne, wykwitające, gdyby skamieniałe, z łona ziemi wypadłe pioruny, — wrogiemi były dla ludzi«.

Fantazja autora, lubująca się w ożywianiu i symbolizowaniu zjawisk natury, szersze jeszcze znalazła dla siebie pole przy następującym opisie morza:

»Woda wznosiła się rytmicznemi wzdęciami o białych grzebieniach piany; były to długie, krzywe linje pustych wewnątrz fal, które pożerały na wyścigi ląd modrą paszczęką. Wypluwały one na piasek ślinę w postaci baniek, gładkich i dziurkowatych muszli, ciężkich kwiatów z lepkiej masy, połyskujących, rzeźbionych rożków, przeźroczystych i miękich przedmiotów, dziwnem jakiemś obdarzonych życiem, zagadkowych szczątków w zagadkowy zużytych sposób. Ryk tych modrych paszcz brzmiał łagodnie i żałośnie. Jęczały one inaczej, niż wielkie drzewa, zdawały się skarżyć w odmiennym języku. I one też, te fale, musiały być zawistne i nieprzenikliwe, toczyły bowiem purpurowy swój cień na uboczu od światła.

»Wieczór nadchodził. Przez chwilę czerwone smugi horyzoncie zdawały się unosić nad płynnym zmierzchem. Potem noc wynurzyła się z wody i — dumna, rozkazująca — stłumiła odmętem ciemności rozkrzyczane usta otchłani. Nareszcie gwiazdy zamigotały na niebie, nad Oceanem.

»Ale Ocean nie chciał być zwierciadłem gwiazd. Krył przed niemi, podobnie jak las, mroczne swe serce pod wiecznie trwającym ruchem fal. Chwilami po.ad falującą bezbrzeżnością wyskakiwały rozwichrzone głowy wodnych rumaków, które głęboka dłoń Oceanu wnet przyciągała ponownie ku sobie Płynne góry piętrzyły się i topniały jednocześnie. Hufce bałwanów pędziły, rozszalałe, a potem znikały nagle. Niezliczone szeregi wojowników o rozwianej grzywie leciały ku sobie w nieubłaganym ataku, a potem tonęły nagle na polu bitwy pod kołysaniem się bezbrzeżnego całunu«...

Taki obraz morza, oryginalny i żywy, daje autor »Gwiazdy lasu«. Budzi on mimowoli w pamięci obraz inny, polskiem skreślony piórem. W poemacie prozą »Nad morzem« (*Życie* nr. 5). Stanisław Przybyszewski, również symbolista, sławi je w takich oto wyrazach:

»O ten cud nad cudami. Słowo, co morzem się stało!

»Kocham je, gdy świt się wyzwala z lubieżnych uścisków nocy, swoje krwią obryzgane ramiona na niebo zarzuca, a olbrzymia korona, gdyby w ogniu stojąca kępa koralowa, na całym wschodzie czerwoną łuną się pali. Wtedy się morze wspina na niebo, wgryza się w jego głąb tysiącem purpurowych języków; nad morzem, co z niebem się zlało, wyrastają złote pałace, kwitną czarowne ogrody. Na niebie wichrzą się fantastyczne paprocie, liście palm, jak z płomiennych kryształów ciosane, kielichy orchidei, w olbrzymie kiście spowite.

»Kocham je, gdy słońce w upalne południe sypie djamentowy piasek na lekko pomarszczoną toń i w rozszalałym zamęcie światła, gdyby święta monstrancja nad morzem skrzy się.

»Kocham je, gdy burza je chwyta w swe wściekłe ramiona, ku niebu ciska i o skały rozbija, lub spienione jego bałwany, gdyby potoki lawy na brzeg wyrzuca — ale nadewszystko kocham je, gdy godzina zmroku, krwią i błękitem spowita, do jego łona się tuli —

»kiedy głosy dalekich dzwonów wolno, w cichym smutku, gdyby płaty śniegu, w bezdenne głębie spadają —

»kiedy wspomnienia z cichym szumem ulatujących skrzydeł o serce trącają —

»kiedy smutek tęsknoty na duszę spływa z tajemniczym szelestem spadających liści, przegryzanych jadem jesieni.

»Wtedy je kocham najwięcej, siedzę na stromych ścianach skał i chłonę wieczność«.

Zestawienie obu opisów pozwala ocenić zachodzące między niemi podobieństwa i różnice. Te ostatnie pochodzą głównie stąd, że autor »Nad morzem« bogatszą posiada skalę uczuć w duszy, świetniejsze barwy na swej palecie. To też morze jego lśni drogocennemi perłami liryzmu, którego brak pisarzowi francuskiemu.

M. Wysłouchowa.

Z drukarni Z. Golloba.